

BRIANNA BOURNE

Zaczekam
na
ciebie
w Snach

przełożyła Edyta Stępkowska

Young

BRIANNA BOURNE

Zaczekam
na
ciebie
w Snach

Przełożyła Edyta Stępkowska



TYTUŁ ORYGINAŁU:
Meet Me at Midnight

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska
Wydawczynie: Monika Rossiter, Olga Gorczyca-Popławska
Redakcja: Lena Marciniak-Cąkała
Korekta: Dagmara Deska
Projekt okładki: Agata Łuksza
Ilustracja na okładce: © Agata Łuksza
DTP: pagegraph.pl

Copyright © 2025 Brianna Bourne

Copyright © 2025 for the Polish edition by Young an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Edyta Stępkowska, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2025
ISBN 978-83-8417-129-5

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pierwsza północ

Kiedy to przytrafia się po raz pierwszy, budzę się spowita przyciemnioną niebieską poświatą, a nad ziemią, niczym dym, snuje się gruba warstwa mgły.

Siadam raptownie, mrugam, żeby przegonić sen, i szeroko otwieram oczy. Próbuję to objąć wzrokiem i umysłem, zrozumieć, na co właściwie patrzę. Jestem pewna, że zasnęłam we własnym łóżku i we własnym domu. A jednak teraz jestem...

Gdzie ja jestem?

Sypialnia, którą dzielę z moją bliźniaczką Cady, zniknęła, zamiast niej wokół mnie ciągnie się las. Drzewa są olbrzymie i jak nie z tego świata.

Sekwoje. Ich widok przywołuje migotliwe obrazy dawnych wycieczek do lasu: kanapki w pudełkach i dobieranie się w pary. Sznur żółtych autobusów szkolnych u podnóża Sierra Nevada. Z mojego miasta do zagajnika sekwoi olbrzymich, dokładnie takich jak te, jedzie się piętnaście minut, więc może przyszłam tu, lunatykując? Chociaż nigdy nie słyszałam, żeby ktoś we śnie przeszedł więcej niż półtora kilometra.

Wstaję na niepewnych nogach i ostrożnie obracam się wokół.

Jest coś hipnotyzującego w tym fioletowo-niebieskim świetle. Coś, co cicho szepcze, że to nie jest zwyczajny las. Ani zwyczajna noc.

Patrzę na zegarek – na delikatnej złotej bransoletce i z tarczą wysadzaną perłami. Należał kiedyś do mojej babci. Obie wskazówki pokazują równo północ.

U moich stóp wstążka czerwonej ziemi wije się w głąb lasu. To ścieżka. I ponieważ wygląda jak zaproszenie, zaczynam nią iść.

Wszystko, co mnie otacza, jest przeskalowane niczym w gorączkowych majakach i jestem tu jak mała laleczka wędrująca wśród sekwoi. Powinam czuć pod skórą przynajmniej coś na kształt wahania – las nocą to nie jest bezpieczne miejsce. Ale strach wydaje się czymś odległym, wręcz niemożliwym.

Czy ja śnię? Nie sędzę. Zwykle moje sny są kompletnie bezsensowne i nielogiczne. I niemal zawsze przeradzają się w koszmary na temat mojego najgłębszego i najstarszego lęku: zetknięcia się z czymś nieznanym w pojedynkę, bez mojej siostry bliźniaczki przy boku.

Ale ten las, ta noc... Wszystko tu jest o wiele bardziej przejrzyste niż w jakimkolwiek z dotychczasowych snów. Czuję torfowy zapach kory, zieloną świeżość liści nad głową. Potrafię zanurzyć bose stopy w miękką jak mąka ziemię i poczuć jej cynamonowy chłód.

W klatce piersiowej, w miejscu, o którym myślałam, że już dawno zostało opróżnione, coś się porusza. Coś, czego nie czułam od bardzo dawna. Tętno mi przyspiesza, krew szybciej pulsuje i rytmicznie wybija w kółko jedną i tę samą myśl: pięknie, pięknie, pięknie.

Od urodzenia chodzę z głową w chmurach. Kiedy byłam mała, koleżanki mamy szeptały między sobą rzeczy w stylu: „A ta znowu buja w obłokach” albo „Cały czas myśli

o niebieskich migdałach, taka już jest”. Zgryźliwa nauczycielka w drugiej klasie mówiła o mnie „nieprzytomna”, a moja ukochana babcia aż do tamtej nocy, gdy od nas odeszła, nazywała mnie „gwiazdooką marzycielką”. Komentarze koleżanek mamy ani trochę mi nie przeszkadzały. Uwielbiałam śnić na jawie. W mojej wyobraźni świat był ładniejszy i ceniłam to, że zawsze mogę się wślizgnąć w którąś ze swoich zmyślonych rzeczywistości. Tam wszystko było prostsze niż w prawdziwym życiu.

Tutaj wszystko jest prostsze.

Teren zaczyna opadać i drzewa się przerzedzają. Jeśli to jest ten sam las, który pamiętam z dzieciństwa, to wkrótce powinnam dotrzeć do doliny prowadzącej do mojego rodzinnego miasta. Ludziom Kalifornia kojarzy się z plażami i surfingiem, ale ja mieszkam na wschodnim krańcu Doliny Kalifornijskiej, gdzie porośnięte gęstym lasem zbocza usiane są domkami letniskowymi i górskimi chatami z kamienia.

Tymczasem zamiast przejść w dolinę, las nagle się kończy i przede mną rozciąga się pusta polana. Sekwoje, niczym wartownicy, tworzą wokół niemal idealny krąg, otwierając widok na niebo, dziwnie jasne i z niebiesko-fioletowym księżycem.

Gdy dostrzegam, co stoi na samym środku, noc się zaczyna. Fortepian.

Patrząc na niego zbyt oszołomiona, by móc się ruszyć. Dopiero po minucie powoli, jakby instrument był stworzeniem zdolnym mnie nastraszyć, wchodzę na polanę.

Księżycowa poświata spowija fortepian upiornym, rozwodnionym światłem. Drewno jest rozpulchnione, pokryte kępkami szmaragdowego mchu i koronką porostów. Klawisze są bardziej żółte niż białe, wyszczerbione niczym zęby. Ostrożnie dotykam jednego. Środkowego C, jak sądzę.

Brałam lekcje pianina, kiedy miałam dziesięć lat, tylko kilka, bo na więcej nie starczyło mi zapachu. Naciskam klawisz, ale instrument milczy.

Zaglądam pod wspartą na podpórcę klapę. Na strunach tętni życiem cały omszony świat. Łagodnie opadające pagórki, maszerujące po nich żuki w lśniących pancierzach. I kwiaty: dym preriowy i czeremcha wirginijska, szkarłatna trąbka i ślaz. Znam ich nazwy równie dobrze jak nazwy wszystkich tkanin, jakie kiedykolwiek przesunęły się pod igłą mojej maszyny do szycia: szyfon, organza, bombazyna.

Uśmiecham się, kiedy czubkami palców muskam najbliższy kwiatek. Po raz pierwszy od trzech miesięcy mogę oddychać swobodnie, nie czując na piersi ciężaru prawdziwego życia.

I już mój uśmiech blednie. Samo wspomnienie o tym ciężarze ponownie osiada mi w płucach, wyciska z nich całe powietrze. Przypomina mi o świecie poza granicami tego snu. O oświetlonych jarzeniówkami szpitalnych korytarzach, ponurych minach lekarzy, o płonących czerwienią cyfrach na górze wszystkich moich prac szkolnych, o rodzicach klócących się podniesionym szeptem.

Prawdziwe życie jest tym dyskretnym, ale niedającym się pomylić z niczym innym odgłosem trzeszczenia wskazującym, że wszystko się rozpada.

Chciałabym być silna, chciałabym być osobą, która znieśie wszystko, ale nigdy nią nie byłam. W przeciwieństwie do Cady.

Wsuwam rękę do kieszeni sukienki i znajduję w niej dwie sklejone monety pensowe, które zawsze mam przy sobie. Właściwie nie są sklejone, raczej stopione ze sobą bokami. Coś równie niespotykanego jak jajko z dwoma żółtkami. Tata wciąż powtarza, że powinnyśmy je sprzedać. Twierdzi, że

w kręgach numizmatyków mogłybyśmy za nie dostać kilka set, a może nawet kilka tysięcy dolarów. Ale Cady i ja znalazłyśmy je na promenadzie w Santa Cruz, kiedy miałyśmy osiem lat, i od tamtej pory na zmianę wszędzie je ze sobą nosimy. Wyjmuję je i pocieram jasną miedź kciukiem.

Cady.

Oddech więźnie mi w gardle i zmuszam się, żeby ponownie się skupić na księżycu, na lesie, na fortepianie. Mnie tam nie ma. Jestem tutaj.

W miarę jak mgła spowija mi kostki, ciężar znów powoli ulatuje z mojej piersi. Zastępują go spokój i cisza tak głębokie, że chce mi się płakać. Czymkolwiek jest ta noc, uwielbiam ją. Jest taka... bezbolesna.

– Dziękuję – szepczę, chowając z powrotem do kieszeni podwójną pensówkę i ponownie kładąc dłoń na mechatym fortepianie. Ten cudowny, niewymuszony spokój... Bardzo go potrzebuję. Od zawsze szukam ucieczki i to miejsce może być dla mnie czymś takim. Moim lasem, moją polaną. Gdzie nie ani nikt nie będzie mi przypominać o rzeczywistości.

Znów przesuвам palcami po milczących klawiszach. Gdybym wyśniła sobie to miejsce trzy miesiące temu, biegałabym po tym lesie w beztroskim zachwycie, spijając jego czarowny urok, i wracałabym do niego nieustannie w swoich snach na jawie.

Zaczynam się kręcić, powoli, z uniesioną twarzą. Być może potrafię znowu stać się tamtą dziewczyną, tylko tutaj i tylko na chwilę, zanim się obudzę.

Serce mi truchleje, gdy słyszę, jak coś przedziera się przez chaszczę. Chwiejnie zatrzymuję się w połowie obrotu, lecz nim zdążę się schować albo znaleźć kij, który posłuży mi za miecz...

...na polaną wpada jakiś człowiek.

Na mój widok zastyga w bezruchu. W jego oczach widzę zaskoczenie. Przez chwilę jesteśmy dwójką rozedrganych, spłoszonych ludzi, którzy znaleźli się w impasie pośrodku lasu, oboje zbyt wstrząśnięci, żeby się odezwać.

Serce podchodzi mi do gardła. Ponieważ ten człowiek – ten chłopak...

On jest ucieleśnieniem wszystkich marzeń mojego bezna-
dziejnie romantycznego serca.

W tym niebieskim świetle cały wygląda jak wykuty z materiału znacznie twardszego i o wiele cenniejszego niż skóra. Z jakiegoś drogocennego kamienia, kwarcytu albo marmuru. Wszystko inne w tej scenerii ma rozmyte, zmiękczone kontury, tylko on rysuje się ostro i wyraźnie. Nos nadaje mu szlachetny, niemal wyniosły wygląd. Dwa tysiące lat temu nazwano by go orlim. I jeszcze to, jak mruga, powoli odsłaniając duże, uważne oczy, zupełnie jakby rzymski cesarz zszedł z kart książki i wskoczył w sprane dzinsy. Jedynym, co nieco zaburza jego wizerunek pełnej powagi godności, są zawadiacko potargane kręcone włosy.

Serce znowu podchodzi mi do gardła. Uciekaj, uciekaj, uciekaj.

On pierwszy rusza z miejsca. Idzie w moją stronę z non-szalancką pewnością siebie. Coś w jego niespiesznym kroku przypomina mi arystokrację ze Wschodniego Wybrzeża: lato w Hamptons, fundusze powiernicze i chłopcy poklepujący się po plecach po ekscytującym meczu polo. Może to przez ten wymuskany granatowy blezer, którego rękawy podwinął do połowy przedramion, albo duży lśniący zegarek na jego nadgarstku, taki, jakie reklamują w gazetkach samolotowych. Las musi wziąć głęboki wdech, żeby jakoś się wokół niego umościć.

Sama robię krok do przodu, w głowie mi się kręci od niecierpliwego wyczekiwania.

Zahaczam o coś stopą – to wygięty korzeń tworzący pętlę. Przysięgam, że przed sekundą go tu nie było. Lecę na twarz, wymachuję jeszcze rękami, usiłując utrzymać równowagę, ale to na nic. Padam jak długa.

Leżę płasko na ziemi, szczypią mnie kolana i dłonie.

Fantazyjna wizja się rozpada, jakby ktoś zatrzymał płytę winylową na gramofonie. Zaciskam powieki. Nie, nie, nie. Kulę się w sobie, całe moje ciało się zdryga. Właściwie nie powinnam być zaskoczona. Jestem niepoprawną romantyczką, więc moje doświadczenie z chłopakami to ziejąca pustka otchłai. Sądziłam jednak, że przynajmniej w snach będzie mi szło lepiej. Poczucie niesprawiedliwości piecze bardziej niż zdarte kolana.

Chłopak kuca obok, chce mi pomóc. Ciężki, wyglądający na kosztowny zegarek połyskuje w purpurowym świetle. Jego właściciel, zdaje się, pyta, czy nic mi nie jest, ale w uszach mi dzwoni ze wstydu.

Podniesienie głowy i spojrzenie mu w oczy wyczerpują resztki odwagi, jaka mi została. Światło za jego plecami się zmienia – elektryczny fiolet nieznacznie szarzeje i robi się bardziej przytępiony. Zmiana jest mikroskopijna, ale niezaprzeczalna. Jego kroki rozproszyły mgłę. Las wokoło stał się odrobinę mniej piękny.

Nieznajomy tymczasem wstaje i z rękami w kieszeniach przygląda mi się z góry. Jego twarz rozjaśnia rozbrajający chłopięcy uśmiech.

– A niech mnie – zaczyna. – Mój sen właśnie stał się o niebo ciekawszy.

Dostają gęsiej skórki. Jego sen?

Nie.

Ten sen jest mój.

I co to w ogóle za tekst. „Mój sen właśnie stał się ciekawszy”.

– Serio? – odburkuję i przewracam oczami.

Lewy kącik jego ust podjeżdża do góry, a w oczach pojawia się iskierka rozbawienia.

– Muszę przyznać, że takiej reakcji dotąd nie słyszałem.

Irytacja rozpala mnie od środka tym bardziej, że jego wzrok przesuwa się z moich potarganych włosów w dół aż do bosych stóp. Mam na sobie białą koronkową sukienkę, tę samą, którą nosiłam w szkole. Tyle że teraz cała jest uwalona błotem i niemal na pewno we włosy wplątały mi się jakieś gałązki. On za to wygląda nienagannie, jakby właśnie zszedł z pokładu klimatyzowanego jachtu – albo coś w tym stylu.

Uwielbiam moje sukienki, chociaż czasem boleśnie sobie uświadamiam, jak bardzo są ekscentryczne. A do tego przy nim... Dawno nie czułam się tak onieśmielona. I już się zamykam, już włączają się moje mechanizmy obronne.

Nieznajomy przenosi wzrok w punkt za moimi plecami.

– Wybacz, muszę zapytać. Czy to naprawdę fortepian? – Zanim odpowiem, obchodzi mnie i idzie sam obejrzeć.

– Jasne, po prostu wejdź sobie w buciorach do mojego snu i czuj się jak u siebie – sarkam pod nosem.

Chłopak obchodzi instrument dookoła dokładnie tak jak ja przed kilkoma minutami. Pochyla się, żeby obejrzeć kwiatki wyrastające spomiędzy strun. Moje kwiatki.

– Długo tu jesteś? – pyta.

– Jakies pół godziny. – Zerkam na zegarek. Dziwne. Obie wskazówki nadal wskazują północ. Stukam palcem w szybkę i przystawiam zegarek do ucha. Tyka. Sekundnik pracowicie maszeruje po tarczy. Ale zegarek nadal pokazuje punkt dwunastą.

Z tym snem, który był taki piękny, nagle zaczyna być coś nie tak i mam ochotę się obudzić.

Zasłaniam twarz dłońmi, wciągam głęboko powietrze i je zatrzymuję. To najpewniejszy sposób, żeby zmienić sen w koszmar o duszeniu się pod wodą, a z tych koszmarów zawsze raptownie się budzę.

Mijają sekundy. Krew napływa mi do twarzy, płuca błagają o ulgę.

– Yyy... co robisz? – Jego głos jest teraz bliżej. Nie zwracam na niego uwagi.

Nadymam usta z wysiłku, żeby ich nie otworzyć, aż nie mogę dłużej wytrzymać. Ze świstem wypuszczam powietrze.

Chłopak stoi na wprost mnie i unosi brew.

– Co to było? – pyta.

– Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to próbowałam się obudzić. Bo to musi być sen.

Szczerzy się tak, że mam ochotę czymś w niego rzucić.

– Bywałem już nazywany chłopakiem ze snów – wyznaje skromnie. – Ale chyba jesteś pierwszą, która użyła tego zwrotu dosłownie.

Śmieje się krótko i wraca do fortepianu. Tam przystaje na moment, po czym siada na ławeczce i roluje barki do tyłu. Bardzo staram się nie zwracać uwagi na mięśnie zarysowane na jego przedramionach, kiedy ustawia palce na klawiaturze z wprawą, która mi podpowiada, że umie się nią posługiwać. Naciska kciukiem ten sam klawisz, który sama nacisnęłam przed minutą – środkowe C. Ale tym razem w lesie rozbrzmiewa zimny, czysty ton.

Odwracam się, prychając z irytacją. Mam tu cały las, wcale nie muszę tkwić akurat na tej polanie. Mogę sobie znaleźć inną, taką bez fortepianu i chłopaka, który próbuje odebrać mi mój azyl. Gdy idę w stronę drzew, powietrze nasiąka muzyką.

Zwalniam. Utwór jest złożony i harmonijny. To muzyka klasyczna. Pewnie któryś z dawnych mistrzów, bo nawet mnie melodia wydaje się znajoma.

Mgła, teraz owinięta wokół drzew otaczających polanę, wydaje się... reagować. Jakby ożyła, podchodzi bliżej źródła muzyki.

Nie mogę się powstrzymać, muszę się odwrócić. Muszę na własne oczy zobaczyć, jak on przywołuje te eteryczne brzmienia.

Chłopak ma zamknięte oczy, a jego dłonie są hipnotyzujące. Długie palce z gracją tańczą na klawiaturze.

I wtedy to czuję. Przypływ emocji, nieoczekiwany i intensywny. Jakaś niewyjaśniona... sympatia do tego chłopaka?

To pewnie przez muzykę, przez to, że gra z taką wprawą. Zresztą czymkolwiek jest to spowodowane, nie potrafię oderwać od niego wzroku. Przyglądam mu się, jak gra niemal w transie, aż doprowadza utwór do końca. Wyczekuje, aż wybrzmi ostatni akord, i dopiero wtedy odrywa palce od klawiszy.

Otwiera oczy i podnosi głowę. Spogląda wprost na mnie, jakby dobrze wiedział, że cały czas tu stałam.

Patrzymy na siebie.

On unosi brew, jakby mnie prowokował, żebym coś powiedziała.

Rozchylam wargi.





I już, tak po prostu wszystko się kończy.

Znika las, znika chłopak i znika północ.



*Sięgnij
po więcej!*



-  wydawnictwokobiece.pl
-  Wydawnictwo Young
-  [wydawnictwoyoung](https://www.instagram.com/wydawnictwoyoung)
-  [wydawnictwoyoung](https://www.tiktok.com/@wydawnictwoyoung)

Young